

„Wiktor” – bohater, żołnierz wyklęty.

Wywiad z Zenonem Jachymkiem



*Prowadzący: Kacper Kolbuch
uczeń klasy VIII Szkoły Podstawowej
im. Orła Białego w Tarnoszynie*

- **Dzień dobry! Dzisiaj moim i Państwa gościem jest słynny żołnierz wyklęty, Zenon Jachymek, człowiek o bogatym życiorysie, podporucznik piechoty Wojska Polskiego, komendant Rejonu VII tomaszowskiego obwodu AK.**

Witamy, Panie Zenonie. Na początku chcielibyśmy się dowiedzieć, kiedy i gdzie pan się urodził.

- Witam, zarówno Pana jak i czytelników. Urodziłem się 9 grudnia 1912 r. w Komarowie. Jest to wieś leżąca w powiecie tomaszowskim.

- **Znany jest Pan pod wielu pseudonimami. Czy mógłby je Pan nam zdradzić?**

- Naturalnie. Tak, jak większość osób w tamtym czasie, używałem różnych pseudonimów np. Sławek, Waldemar, Wallenrod, Zygmunt Nowosad. Najpopularniejsze było jednak imię Wiktor.

- **Bardzo ciekawe. Jedna osoba używająca tak wielu imion. Niektórym może to się wydać imponujące.**

- Tak, z pewnością. Niestety, to nie była zabawa, tylko konieczność. Żyliśmy wtedy w trudnych i niebezpiecznych czasach. Działaliśmy w konspiracji. Stawką było życie. Często ukrywanie własnej tożsamości ratowało przed aresztowaniem lub czymś o wiele gorszym.

- Oczywiście. Z tego, co nam wiadomo, zaczął Pan służyć Polsce od 1939 r.

- Owszem, tak było. Do wojska wzięto mnie zaraz po rozpoczęciu II wojny światowej. Miałem wtedy 27 lat.

- Do jakich organizacji zbrojnych Pan należał?

- Należałem do czterech organizacji zbrojnych. Były to: Wojsko Polskie, Armia Krajowa, Ruch Oporu Armii Krajowej oraz Wolność i Niezależność.

- Rozumiem. Cofnijmy się na chwilę do lat młodszych. Do jakiego gimnazjum Pan uczęszczał oraz jakie inne szkoły ukończył?

- Bardzo miłe wspominał tamte czasy. Uczęszczałem do gimnazjum w Tomaszowie Lubelskim, gdzie otrzymałem świadectwo dojrzałości aktualnie nazywane maturą. Również studiowałem we Lwowie na Uniwersytecie Jana Kazimierza w latach 1933 – 1935 na wydziale weterynarii. Potem odbyłem jednoroczną służbę wojskową. Ukończyłem Dywizyjny Kurs Podchorążych Rezerwy Piechoty 3 Dywizji Piechoty Legionów, zorganizowany w III batalionie 9 pułku piechoty legionów w Tomaszowie Lubelskim, po czym wróciłem na studia. Były to lata 1936 – 1938.

- Skończył więc Pan studia rok przed wybuchem wojny. Może się Pan z nami podzielić wspomnieniami z pierwszych miesięcy wojennej pożogi?

- Było to tak. Latem 1939 r. zostałem zmobilizowany do Wojska Polskiego i wcielony do 9 Pułku Piechoty Legionów, w którego szeregach odbyłem kampanię wrześniową. Początkowo byłem dowódcą plutonu, a potem 9 kompanii III batalionu. Walczyłem pod Iłżą i Starachowicami, a następnie na Lubelszczyźnie. Po zakończeniu kampanii wrześniowej uniknąłem niewoli i powróciłem do rodzinnej wsi. Podczas okupacji niemieckiej już jesienią 1939 r. rozpocząłem działalność konspiracyjną. Byłem współorganizatorem zrębów SZP/ZWZ na terenie Komarowa. Początkowo pełniłem funkcję zastępcy dowódcy. Potem zostałem dowódcą placówki ZWZ Komarów. Na przełomie 1940/1941 r. mianowano mnie dowódcą oddziałów szturmowych i dywersji bojowej w obwodzie tomaszowskim. Brałem udział w wielu akcjach przeciwko Niemcom i UPA. W grudniu 1942 jako jeden z pierwszych uderzyłem na zasiedloną przez kolonistów niemieckich osadę Komarów, wieś Komarów i Wolice Śniatycką. Natomiast 27 lutego 1943 roku dowodziłem akcją w Poturzynie, w której za zadanie postawiłem sobie zlikwidowanie komendanta posterunku policji ukraińskiej.

- Wspomniał Pan wcześniej, że był dowódcą. Czy jeszcze jakieś inne stanowiska Pan obejmował?

- Oczywiście, kilka ich było. Jednak najbardziej utkwilo mi w pamięci mianowanie na komendanta Rejonu VII w Obwodzie AK Tomaszów Lubelski w marcu 1943. To był

ogromny zaszczyt. Już jako komendant kierowałem akcją uwolnienia z gestapo w Zamościu żony komendanta obwodu AK w Tomaszowie Lubelskim, Alicji Szczepankiewicz i jej syna. Akcja miała miejsce w Wielki Piątek i zakończyła się naszym sukcesem. Tego samego roku, a dokładnie 11 listopada, zostałem awansowany na porucznika rezerwy piechoty. Byłem również pomysłodawcą i dowódcą tzw. odcinków przeciwukraińskich, które miały na celu walkę z oddziałami UPA.

- Mówi Pan o UPA. Czy często dochodziło do potyczek z Ukraińcami?

- Tak, trochę ich było. Warto zaznaczyć, że UPA powstała już w 1942 r. Jej oddziały pacyfikowały polskie wsie, mordowały ludność. Nie można było tego tak zostawić. 11 listopada 1943 r. starliśmy się z tymi bandytami pod Narolem. 2 maja dowodziłem polskimi oddziałami partyzanckimi w Sahryniu, który okazał się koszarami UPA. 2 czerwca 1944 kierowałem akcją przeciwko UPA pod Dąbrową, Rzeczą i Ułhówkiem. Mogę śmiało powiedzieć, że była to największa bitwa w tym rejonie na Zamojszczyźnie. Niestety, dla nas nie skończyła się zbyt pomyślnie, ponieważ nie udało się przełamać linii obronnych jednostek ukraińskich. Ponieśliśmy też wiele ofiar. O naszej klęsce zadecydowało przede wszystkim lepsze uzbrojenie przeciwnika. Było nas wprawdzie mniej, ale przecież to nie liczba robi przewagę.

- Tak, to prawda. A co działo się z Panem przed końcem wojny?

- Po wkroczeniu Armii Czerwonej na teren obwodu, byłem usilnie poszukiwany przez NKWD i UB. Ukrywałem się na posterunkach milicji, ponieważ ich załogi składały się wówczas z dużej części byłych żołnierzy AK i BCh. Mogłem więc liczyć na ich pomoc. Po rozwiązaniu AK w styczniu 1945 r. nie złożyłem broni. Dalej działałem w konspiracji. Nie mogłem się przecież poddać.

- Oczywiście. A co było dalej?

- W maju 1945 zostałem przeniesiony do Obwodu Hrubieszów DSZ/WiN, gdzie od czerwca 1945 do grudnia tego samego roku pełniłem funkcję zastępcy komendanta. Zostałem też awansowany rozkazem nr. 319 z 1 czerwca 1945 r. Delegata DSZ na Kraj do stopnia kapitana rezerwy. W okresie działania WiN nadal działałem w konspiracji. Musiałem ukrywać się przed nowym wrogiem – komunistami.

- Tak, to bardzo przykre. Mimo tego ciągłego zagrożenia nie opuścił Pan granic Polski?

- Nie, choć bywałem poza krajem. Zorganizowałem kanał przerzutowy do Szwecji dla "spalonych" członków organizacji, czyli zagrożonych aresztowaniami i prześladowaniami. Działał bez zarzutu. Pod koniec 1945 r. przebywałem osobiście w Szwecji, skąd powróciłem do kraju w maju 1946 r.

- Jak udawało się Panu przekroczyć granicę? Przecież szukały Pana wszystkie służby.

- To fakt. Nie mogłem posługiwać się własnym nazwiskiem, więc używałem „legalnej” legitymacji pracownika MPB w Sopocie wystawionej na nazwisko Zygmunt Nowosad. Nie budziło to niczyich podejrzeń.

- Czy ktoś dowiedział się, że używa Pan tej „legalnej” legitymacji?

- Niestety tak, dowiedziano się. Zostałem wydany UB przez żonę jednego z moich kolegów. Zostałem zatrzymany przez funkcjonariusza UB 21 września 1946 r. w Świeciu tuż po powrocie ze Sztokholmu. Na początku byłem więziony w areszcie w Świeciu, potem w Bydgoszczy, skąd zostałem przewieziony do więzienia w Lublinie.

- Jak Pan wspomina swoje uwięzienie?

- To był straszny czas. Przyszedłem bardzo ciężkie i brutalne śledztwo. Byłem okrutnie torturowany. Próbowano mnie zabić, czy też upozorować moje samobójstwo. Siedziałem wiele razy w wilgotnym i brudnym karcerze. Proszę sobie wyobrazić, że dzieliłem celę z oficerami SS. Za służbę Polsce zostałem skazany na karę śmierci oraz dożywotnią utratę praw wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Lublinie dnia 23 września 1947 r. To był dla mnie cios. Ja, który walczyłem z Niemcami o wolność naszego kraju, zostałem potraktowany jak zdrajca narodu. Nie mogłem się z tym pogodzić. Na szczęście na podstawie amnestii z 22 lutego 1947 r. karę śmierci zmieniono mi na 15 lat więzienia. Byłem więziony na zamku lubelskim i w Centralnym Więzieniu Karnym we Wronkach. Tam zachorowałem na tyfus i omal nie umarłem. Nie udzielono mi pomocy. Skatowanego, chorego, zostawiono samego sobie. Byłem pewien, że to moje ostatnie chwile, że nie wyjdę z tego. Jednak przeżyłem. To był cud. Potem postanowieniem Sądu Wojewódzkiego w Lublinie z 20 czerwca 1956 r. na podstawie amnestii zmniejszyli mi karę do 10 lat i zarządzili natychmiastowe zwolnienie z więzienia. Na wolność wyszedłem 23 sierpnia 1956 roku. To był niezapomniany dzień.

- Niesamowita i wstrząsająca historia. Co Pan robił po odzyskaniu wolności?

- Początkowo mieszkałem w Komarowie. Próbowalem rozkręcić własny interes – produkcję gontów dachowych. Jednak nie szło mi zbyt dobrze. Wyjechałem więc do Wrocławia. Był rok 1958. Tam rozpocząłem nowe życie. I to dosłownie, bo wkrótce się ożeniłem. Moją wybranką została Zofia Zalewska, też pochodząca z Komarowa.

- Nareszcie mógł Pan odpocząć.

- Tak do końca to nie. Niestety, moje małżeństwo nie przetrwało długo. Tylko dwa lata. Rozwiedliśmy się z żoną, mimo iż na świat przyszedł nasz syn Wojciech. Zostałem sam

we Wrocławiu. Żona wyjechała do Jaworzna. Nigdy jednak nie zapomniałem o synu. Zawsze się bardzo o niego troszczyłem.

- Przykro mi. Zdradzi Pan, co działo się z Panem w kolejnych latach?

- Oczywiście. Od czasu opuszczenia więzienia zmagalem się z problemami zdrowotnymi. Gdy wyszedłem na wolność, ważyłem zaledwie 46 kg. Leczył mnie nawet słynny doktor Janusz Peter z Tomaszowa Lubelskiego. Nie mogłem pracować. Moja renta inwalidzka bez uprawnień kombatanckich wystarczyła mi zaledwie na skromne utrzymanie i opłacenie alimentów. Ale dawałem sobie radę. Nadal mieszkalem we Wrocławiu. Często jednak przyjeżdżałem do Komarowa. Zwykle wiosną, gdy zrobiło się już ciepło. Odwiedzałem przyjaciół, znajomych. Ciągnęło mnie do tych rodzinnych stron. 1984 r. zamówiłem tablice upamiętniające bohaterstwo i martyrologię AK do kościoła w Tomaszowie i Komarowie. To było moje wielkie marzenie. Chciałem z tym zdażyć przed śmiercią i udało mi się. Jedna z tablic została wmurowana w kościele pod wezwaniem Serca Jezusowego w Tomaszowie Lubelskim, druga w kościele parafialnym w Komarowie. Teraz od jesieni 1985 jestem tu, we Wrocławiu. Nie wiem, czy zdrowie pozwoli mi jeszcze raz odwiedzić mój ukochany Komarów. Zastrzegłem sobie jednak, że po śmierci chcę tam wrócić. Tam bowiem chcę być pochowany.

- Życzymy Panu jeszcze wielu lat życia. Czy ma Pan zdjęcia, którymi mógłby się podzielić z naszymi czytelnikami?

- Dziękuję. Oczywiście, kilka ich mam. Zaraz zaprezentuję.



- Te po lewej stronie, to moje zdjęcie zrobione ostatnimi czasy, a te czarno – białe, to z czasów, gdy byłem dowódcą AK. Jak to człowiek się zmienił na starość.

- Dokładnie. Czy ma pan jakieś zdjęcia ze swoimi przyjaciółmi?

- Oczywiście, że mam. Nie walczyłem przecież sam. To moja tomaszowska drużyna obwodu Armii Krajowej.



- **To bardzo piękne zdjęcia. Dziękujemy, że Pan nam je pokazał. Również dziękujemy za wywiad. Bardzo nam miło, że podzielił się Pan z nami swoją niesamowitą historią.**
- Mnie również było miło. Dziękuję za to, że ktoś chciał wysłuchać mojej opowieści.
- **Ależ to oczywiste. Jest Pan wybitną osobistością, prawdziwym bohaterem.**
- Dziękuję za miłe słowa. Ja tak o sobie nie myślę. Robiłem to, co uważałem za słuszne. Kochałem i kocham moją Ojczyznę. Nic więc dziwnego, że całe życie jej służyłem.
- **I to właśnie zasługuje na najwyższy szacunek i uznanie. Dziękuję za wywiad. Życzę dużo zdrowia. Do widzenia.**
- Dziękuję bardzo. Do widzenia.

Zenon Jachymek zmarł 6 marca 1986 roku we Wrocławiu. Został pochowany na cmentarzu parafialnym w Komarowie. W dniu 9 września 1993 roku wyrokiem SW w Lublinie został zrehabilitowany i otrzymał pośmiertnie stopień majora. W 2012 roku powstał film pt. „Wyrok śmierci” poświęcony Zenonowi Jachymkowi. Reżyserem obrazu była Ewa Szkalicka.

Zdjęcia z pogrzebu.



Grobowiec.



Zdjęcie z 100 rocznicy urodzin.



Bibliografia:

1. Zenon Jachymek "Związek Walki Zbrojnej, Armia Krajowa w obwodzie Tomaszów Lubelski" pod red. Ireneusza Cabana
2. Armia Krajowa na Zamojszczyźnie – Jerzy Józwiakowski, tom I i II, Lublin 2007 r.
3. Rewizje Historyczne Nr 3(31) 15 marca 1996 r.
4. Rewizje Tomaszowskie Nr 4(393) 24 luty 2006 r.
5. Wikipedia.